ROK TRZECI.

—

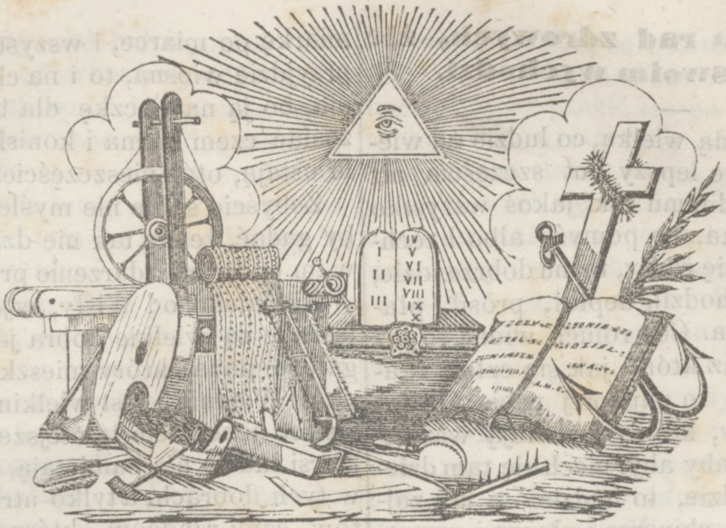
№ 24.

Warszawa

Dnia 1 (13) czerwca 1858.

Niedziela

3cia po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Obrońco pokładających w Tobie nadzieję, o Boże, bez którego nic nie jest mocném, nic świętem, rozmnażaj Twe miłosierdzie nad nami, i niech pod Twym rządem, pod Twém dowództwem przechodzimy czasowe dobra tak, iżbyśmy wiecznych nie utracili. (Kollekta na Niedzielę trzecią po Świątkach).

Czem jest dla nas wiara.

—

Gdy rolnikowi posiew zniszczy grad,
Posucha zboże przepali,
I w niem kłos zwiędły strząśnie plonu kwiat,
Łodygę wicher powali,
Albo zły sąsiad dokuczy jak wróg,
W zapędzie zemsty zniesławi;
To wtenczas wiara, że jest w niebie Bóg
Pewnie go z nieszczęść wybawi.

Gdy żołnierz śmiało dąży w srogi bój,
Nieraz w nieznane mu kraje,
Znosząc niewczasy, nieraz krwawy znój,
Że mu sił wreszcie nie staje,
A za nim, przed nim, wszędzie stawa wróg,
Śmiercią mu grożąc w pogoni;
To wtenczas wiara, że jest w niebie Bóg
Pewnie go tarczą osłoni.

Gdy z losów burzy grom bije na grom,
Pod niemi wszystko niszczeje,
Albo choroby gdy nawiedzą dom,
Rodzina cała marnieje,
I już nadziei blednie jasny łuk,
A rozpacz piersi rozsadza;
To wtenczas wiara, że jest w niebie Bóg
Wielką tę boleść osładza.

O! choćby trwogi grom na duszę spadł,
Zgiął ją jak lilję wśród burzy,
W myślach zaś jasny promień życia zbladł,
Gdy go zwątpienie ochmurzy,
I wszystko rani jakby kolcem głóg,
Że dusza lodem aż stygnie;
To wtenczas wiara, że jest w niebie Bóg
Z tej nas niemocy podźwignie.

Wszędzie, ach! wszędzie, gdzie zawiedzie los,
Choć zdala drogiéj nam ziemi,
I choćby straszny przygniótł nas tam cios,
Gdy w wierze będziem stałemi,
To wiele z nieba spłynie łaski strug,
Jakby anielskie uśmiechy,
Bo wiara silna, że jest w niebie Bóg
Udzieli szczeréj pociechy.

Kto nie słucha rad zdrowych, źle na uporze swoim wychodzi.

—

Już to jest prawdą wielką, co ludzie od wieków powtarzają, że lepszy łut szczęścia niż funt rozumu, że jednemu tak jakoś wszystko idzie gdyby z płatka, co pomyśli albo i zechce, to zrobi, gdzie się ruszy, to mu dobrze idzie; a drugi będzie ci chodził, deptał, prosił, płacił, i nic nie wskóra. Cóż robić? widać to już taka wola Boska, z którą jak się człek zgadza i nie wyrzeka, to najlepiej robi. Ale też znowu bywają tacy, którzy zwlekają wszystko z dnia na dzień, aby aby; niech się tam dzieje co chce, jak będzie, to będzie... a jak zajrzy bieda, dopiero skweres i płacze i wyrzekania i obraza Pana Boga i skargi i przekleństwa.

Powiedziałem to wszystko dlatego, że między chłopstwem naszém, ktore sobie wogóle jest bardzo uczciwe to prawda, ale że leniwe, że zaniedbane a wyrzekające, to także nie zgrzeszę, jeżeli powiem tak, znajduje się dużo i bardzo dużo nieszczęśliwych z własnej winy. Każdy chłop to będzie ci robił od świtu do zmierzchu, będzie chodził na zarobek, ale póty, póki nie ma co jeść, póki podatku nie zapłaci, albo sukmany na grzbiet nie nadzieje; co ta będzie to będzie, byle dziś miała baba włożyć co do garnka, byle za co kupić w mieście, napić się gorzałki w niedzielę i dosyć. Eh! gdzie mu tam myśleć o schowaniu jakich pieniędzy; będzie narzekał, jak mu pan wspomni o biedzie i przednowku: dobrze i tak proszę wielmożnego pana, że się ta żyje jako tako. Zarobi się więcej, to się i wyda więcej, a jak niema, to się obejdzie—a co się człek nie napracuje, to nie.

Już to na jesieni, kiedy w stodołce leży kilka kóp zboża, w dole jakie piętnaście korcy kartofli, a na górze trochę siana dla koni i bydła, to sobie chłop jest takim panem, że nie przystępuj do niego bez kija. Młóci a młóci, że ino ziemia jęczy na klepisku, a co wymłóci przez cały tydzień, wiezie do miasta w niedzielę, i zaraz jak poczuje kilkanaście złotych w kieszeni, dalej do karczmy, dalej kupować rzeczy, bez którychby się mógł dobrze obyć. Na Nowy-Rok za to, bieda zagląda w oczy; gospodarz się trapi, baba wyrzeka i idą do dworu po zapomogę, i pożyczają zkąd mogą miarkę po miarce, i wszystko marnieje, a jak przyjdzie wiosna, to i na chałupie strzechy nie ma, bo ją na sieczkę dla bydła pozdzierali, i zasiać czem niema i koniska osłabione w polu ustają, otóż nieszczęście!

Żebyście sobie nie myśleli, że to się gada aby gadać, że się tak nie dzieje na świecie, to wam opowiem zdarzenie prawdziwe.

Niedaleko od Wisły, w jednej z okolic Królestwa są wielkie dobra jakiegoś bardzo bogatego pana, który mieszka sobie za granicą aż w Wiedniu i jest wielkim urzędnikiem, czy nawet jenerałem tamtejszego Cesarza. Najstarsi ludzie nie pamiętają, żeby on był kiedy w tych dobrach, a tylko utrzymuje plenipotentów czyli rządców, którzy, jak to się często przytrafia, bywają sobie różni ludzie, źli i dobrzy, ot zwyczajnie jak to na świecie. Niektóre z tych wsi podawnemu odrabiały pańszczyznę do dworu, niektóre były oczynszowane na wieczne czasy, a dużo jest i takich gospodarzy, co jeszcze z nieboszczykiem ojcem dzisiejszego pana mieli na różne czasy ponapisywane kontrakty, że zamiast pańszczyzny będą płacić po kilka złotych z morgi i jeszcze różne powinności do żniwa odrabiać. Ale że z dawien dawna mieli się dobrze, że ziemia rodziła i Pan Bóg błogosławił, to chłopi sobie myśleli, że już im nikt nic nie zrobi, i że oni tacy mądrzy i bogaci, jak sam pan jenerał.

Aż tu przeszłego roku na wiosnę, jednéj niedzieli przychodzi do każdéj chałupy karbowy dworski z rozkazem, żeby się wszyscy gospodarze po summie do dworu stawili.

— A po co to, a na co? pyta jeden i drugi, ale się zbierają gromadnie i idą.

— Moi gospodarze, odzywa się pan rządca człek bardzo stateczny i dobrego serca, zawołałem was tu z rozkazu pana jenerała, który mi napisał to wszystko, co wam powiem. Oto widzicie, i o tem musicie wiedzieć, że wy nie jesteście wieczystymi czynszownikami, tylko macie ugodę z nieboszczykiem panem zrobioną na lat czterdzieści, prawda?

— Eh, proszę Wgo pana, mówi Stach Kobylak najsprytniejszy chłop z całéj gromady, my ta tego nie pamiętamy.

— Jeżeli nie pamiętacie, to musicie mieć jakie papiery, a jeżeli nie macie, to ja wam powiadam, że tak jest, że na lat 40, że ostatni rok kończy się wam tego roku na święty Marcin

Ale nie bójcie się moi ludzie, nasz pan jest bardzo dobry, on wam krzywdy zrobić nie chce, i napisał mi oto, żeby się was zapytać, czy chcecie wrócić napowrót do pańszczyzny, czy nową zrobić ugodę. Pan jenerał pisze: ja wiem, że oni nic nie mają, wiem, że budynki moje, ale że od tylu lat gospodarują, że niektórzy już nowe chałupy wystawili...

— Z przeproszeniem Wgo pana, odzywa się ten sam Kobylak, jak ta jest, to jest, ja ta tego dokumentnie nie wiem, ale że budynki nasze, to nasze. Ja sam pamiętam, jak mój tatuś nanowo stawiali chałupę, i to za swoje pieniądze drzewo kupowali.

— A i moja chałupa to będzie temu lat sześć jak stoi, przerywa Bartosz Kudła.

— Wszystko to dobrze moi kochani, rzeknie pan rządca, ja wiem, że tak jest, ale kiedy nieboszczyk dziedzic wypuszczał wam te osady, to z chałupami, więc i teraz, jakby wam przyszło oddawać, to musielibyście także oddać z chałupami, jakieście wy, a raczéj wasi ojcowie wzięli.

— To nie może być proszę Wgo pana, mówi Kobylak, co się zawaliło, to się zawaliło, i to pańska szkoda, a co my stawiali, to nasze.

— A juści że tak, powtórzyło kilkunastu, a Kudła dodaje: moja chałupa z budynkami to więcéj warta niźli całe grunta, i jabym ją miał oddawać za darmo?

— Wy gadacie swoje, rzeknie rządca, a ja wam powiadam, że nie macie racyi, bo tak stoi w kontrakcie, że pobudynki dworskie.

— Niech sobie tam stoi, przerywa jeden z gromady, kaj nasze, to nasze.

— Ależ cicho bądźcie, krzyknie rozgniewany rządca, niech skończę, com miał powiedzieć, a potem sobie gadajcie. Więc pan jenerał pisze: zapytać się ich, jak chcą, czy odrabiać pańszczyznę jak inni, czy daléj zostać na czynszu? Ale że wtenczas, gdy ojcowie ich z moim ojcem zawierali ten układ, ziemia była tańsza, a teraz daleko drożéj idzie, więc żeby i oni i ja krzywdy nie mieli, mogą zostać przy tych samych osadach, ale za opłatą 5 złotych z morga, bo grunta mają dobre, z których w sąsiednich dobrach włościanie po złp. 8 płacą.

Jeszcze nie skończył rządca czytania, gdy między chłopstwem zrobił się straszliwy rejwach: Nie chcemy, nie będziemy, a co to taka krzywda, albo to sprawiedliwości nie znajdziemy, a chałupy nasze, a grunta ladajakie; nie będziemy płacić ino po trzy złote, co nam zrobi? i t. p. wylatywały okrzyki z gromady. Pan rządca stał sobie na ganku przededworem, patrzał się litościwie na głupie chłopstwo i ruszał ramionami, bo to był człek bardzo dobry i chciałby każdemu wygodzić.

— No! czego się tu będziecie swarzyć? krzyknie, ja zrobiłem, co mi kazano i radzę wam jak przyjaciel jaki, nie róbcie głupstw, nie wyrzekajcie, bo krzywdy nie macie, a sprawiedliwości inszej nigdzie nie znajdziecie. Nie wierzycie mnie, to się poradźcie księdza proboszcza, pokażcie mu swoje skrypta, a on wam to samo powie. W drugą niedzielę przyjdźcie mi powiedzieć, jak tam sobie postanowicie.

I poszedł rządca do dworu, a cała gromada hurmem powaliła się do karczmy na naradę.

W drugą niedzielę stawił się we dworze tylko jeden gospodarz Sebastyan Wicherski i powiedział rządcy, że się radził księdza proboszcza, że jak on przeczytał papiery, to mówi dwór ma racyą, i że dlatego zostaje przy osadzie i będzie płacił po 5 złotych z morga.

Zeszło znów parę tygodni spokojnie, rządca o tem już nie gadał, więc cieszyła się z tego gromada, że postawiła na swojem, a Stach Kobylak ino się przechwalał, że tak dobrze poradził. Aż tu jednego dnia zajeżdża przed karczmę malutki wózek w jednego konia, a z niego wysiada znajomy woźny z sąsiedniego miasteczka. Od jednej do drugiej chałupy chodzi sobie i w każdéj zostawia pismo na stemplowanym papierze i czyta chłopom nakazanie, żeby się od Śgo Marcina wyprowadzali.

— Nie bójta się, mówi Stach Kobylak, nic wam nie będzie; już w tem jest moja głowa, że ja to wszystko poprowadzę, co dobrze będzie. Zwyczajnie myśli rządca, że nas pisanem zastraszy... ale znamy się na tem. Widzicie ten urzędnik, co nam te papiery roznosił, to mi powiedział, jakem mu sprawił traktament, że nasze prawo lepsze niż pańskie i jak ot pójdzie na sąd, to on nam wszystko spenetruje i na naszę stronę wyrzeknie.

Niebardzo temu wierzyli wszyscy, ale Stach jak nie krzyknie: Cóż to będzieta się odłączać jak Sebastyan, czy co? on ta już zaprzedany

do dworu! Rządca myśli, że chłopi to na niczem się nie znają. A toć jak kto sobie co postawi, to jego, i takie prawo na całym świecie!

— Ha niechże i tak będzie, odrzekł Kudła, a jak nas na Śty Marcin wyrzuci?

— Niech wyrzuca, my sobie znajdziemy sprawiedliwość; ja gotów iść choćby o żebranym chlebie do samego pana jenerała, a jak wypowiem wszystko, co on tu z nami wyrabia, to prędzej jego nie będzie aniżeli nas.

Usłuchała głupia gromada takiej mowy i nic sobie z tego nie robiła. Ksiądz proboszcz gadał: nie zadzierajcie z panem rządcą, bo Pan Bóg wysoko, a pan dziedzic daleko; udajcie się w pokorę, może wam jeszcze co opuści.

— A ktoby ta chodził i skamlał, jak nie przymierzając pies jaki; wyrzuci, to wyrzuci, a my ta po 5 złotych z morgi płacić nie będziemy.

Jak się uparli, tak i uparli, i w polu mało co robili, a ino radzili w karczmie poswojemu. Koło Śgo Jana dopiero, kiedy się zaczęli zjeżdżać do wsi różni ludzie i niemcy i żydzi i chłopi i mieszczanie, a poczęli oglądać grunta, rozpatrywać pobudynki chłopskie i znowu chodzić do pana rządcy, to gromada na prawdę była w strachu. We wsi chodziły wieści, że dziedzic kazał innym osadnikom wypuścić grunta i że po 8 złotych z morgi dają, a nawet podobno rządca już się z niektórymi pougadzał.

Wtedy wszyscy dalejże na Stacha, on zaś na to:

— Nie bójta się gospodarze, ja pójdę z prośbą do samego dziedzica, ino się złóżcie co kto może, bo to nie mały sztuk drogi do samego Wiednia dotrzeć, i tam jaki czas posiedzieć.

Niektórzy zgodzili się na to; co kto miał talarka albo i więcej, to złożył, inni poszli do dworu, ale rządca odprawił ich z niczem, bo osady były już powypuszczane.

Jakoś na Wniebowzięcie Najświętszéj Panny Maryi zawołali organistę do karczmy, a Stach kazał mu napisać prośbę, że rządca ich wypędza z gruntów, na których od dziada pradziada siedzieli, że sobie wymyślił jakieś prawo, że chałupy, co oni sami postawiali, sprzedał, że ich katuje, bije i niszczy, że oni chyba pójdą z torbą, że im cały dobytek zabiera...

— Ej Stachu, odzywa się organista, na co to łgać, kiedy to nieprawda, bo was nikt nie bije.

— A jakto? nie pobił Tomka ze dworu, za to, że mu koń okulał?

— Bo on też dworski sługa...

— Cóż że dworski, ale zawsze ze wsi. Albo nie zajął mi przeszłego roku krowiny, co mu ta kilka ździebełek pszenicy uszczyknęła, i nie kazał zapłacić sześć złotych sztrofu? A gajowi nie zabierają naszym siekier w lesie?

— Prawda to, ale po cóż ścinacie drzewa, kiedy wam tylko zbiorka się należy...

— A nie wsadził do kryminału Slepowca, że ta z kopca kartofli ujął?..

Napisał tedy organista jak chłopi chcieli, i na drugi dzień zaraz Stach Kobylak ruszył ze wsi.

Jak sobie poszedł, tak i poszedł. Mija tydzień, dwa, trzy i cztery, a o Stachu ani słychać. Tymczasem gromada nic sobie z tego nie robi, a ino podawnemu jeździ po jarmarkach, pije, choć ten woźny z miasta przywozi różne papiery, a ksiądz proboszcz z ambony nawet upartych napomina.

Nakoniec pewnej niedzieli już prawie przy końcu żniwa, zjawia się we wsi oczekiwany Stach Kobylak. Jakby błyskawicą rozeszła się wieść o tem we wsi; jaki taki porzuca robotę i dalej do karczmy. Wszyscy go witają i dziwią się zarazem, że ów Stach, co prawie że obdartym wyszedł ze wsi i to nabosaka, teraz wygląda gdyby jaki kmieć bogaty: kapelusz ma z krakowska nowiuteńki, sukmanę paradną, buty węgierskie z cholewami za kolana, kobiałkę skórzaną i pas jak się przynależy i chustkę czerwoną na szyi, a mina gęsta, twarz spasiona, że ledwo oczy ujrzysz, a pali sobie z fajki na krótkim cybuszku z prawdziwej porcelanki.

— No jakże, no cóż tam słychać? widzieliście pana, jakże powiedział? pytają zewsząd ciekawie otaczając Stacha.

— Czekajta gospodarze, rzeknie on z powagą, kazawszy sobie podać półkwaterek wódki; po takiéj tyraninie trza sobie trochę odpocząć. Oto widzicie, ani wam to w głowie moi sąsiedzi, jak to jest okrutnie daleko do owego Wiednia. Gadam co ani zrachuje-

cie, ile tam jest mil. Idzie się i idzie, idzie się i idzie całe trzy tygodnie, aż tam het za Wisłę, gdzie już same są Niemcy, bo nawet takie małe berbecie, to ino po niemiecku szwargocą.

— No, to jakżeście wy trafili? pyta młody parobczak, któremu z ciekawości omal co oczy nie wyskoczą.

— Ha pytałem się ludzi; od niemców wyuczyłem się poniemiecku. Jakem ci już zaszedł do owego miasta, to strach powiadam wam: chałupy i chałupy kieby dwory wszystko, a wysokie jedne na drugich, że pod same niebo. Ludu to nie przymierzając jak mrowia jakiego, płynie to i płynie i wrzeszczy, że człek w takim harmidrze nie wiedział, kaj się obrócić.

— Eh! wy se ta chyba daliście już radę, przerywa Kudła.

— A skądeście dostali takiego galantego kapelusza i sukmany? pyta ów parobczak.

— O czekajta, o wszystkiem to będzie, ino trza słuchać. Po owem mieście chodziłem z tydzień, a pytałem o naszego pana. Jeden powiada tam a tam, drugi nie tam, trzeci nie chce gadać, czwarty nie wie i basta.

Skoro sobie tak chodzę, patrzę, a tu się wojsko musztruje – he! he! co to za wojsko; powiadam wam całe czerwieniuśko ubrane, kieby ich we krwi umaczał. A starsi na koniach co od złota i srebra, co może i za pięć dukatów takiego nie sprawi. Stanąłem sobie zwyczajnie z ciekawości jak chłop oto, pod takim słupem, co na nim dwóch dziadów niby siedzi, ale to wszystko z żelaza.

— No, ale jakże nasz pan?

— Zaraz będzie o tem, ino trza z kolei. Stoję sobie i stoję, a te wojska i tam i nazad i naprawo, i na mnie lecą obcesem. Aż tu nadjeżdża jeden najstarszy i rzeknie:

— Skądeście to człowieku?

Ja łap za kapelusz i mówię; z Dąbrówki jaśnie panie.

— Co, z Dąbrówki? to chyba z mojéj wsi.

— No patrzajcie, krzyknie jeden ze słuchających, to może był nasz pan?

— A nasz, odpowiada Stach tryumfująco. Więc gada do mnie: mój poczciwy Stachu, to sobie trochę zaczekaj, ino skończę musztrunek, to przyjdziesz tu do mnie do dworu. I przykazał starszym co się koło niego kręcili, żeby mi się temu człowiekowi nic złego nie stało.

Jak już to wojsko sobie poszło, kiwnął na mnie i ja poleciałem do owego dworu. Bety! co tam jest izb, to idziesz i idziesz, aż musisz zabłądzić. Nareszcie nasz pan usiadł sobie w jednéj izbie, co taka nie przymierzając jak nasz kościół, i takie tam stoją ławki, ławki i ławki; kazał sobie dać kiełbasy z jajecznicą; ale też je, niech go Pan Bóg ma w swojéj opiece.

— Człowieku, a możeś ty głodny, co? pyta.

— A jakże, mówię, proszę jaśnie wielmożnego jenerała.

— No to dać mu tę resztę i kieliszek wódki, powiada. Jadłem ci też powiadam wam jadł, bo to po tym niemieckim chlebie, to ino ciężko w żołądku, a jeść się zawsze chce. Potem znowu gada: mój poczciwy Stachu, to u was musi być wielka bieda, kiedy wy butów nie macie?

— Ja rzeknę: tak, i zaraz też rozpowiedziałem wszystko o naszym rządcy, jak nas tu katuje, tyrani, jak nam grunta i chałupy odbierać chce, i com tylko wiedział i nie wiedział, tom gadał. A on-na to tak się rozpłakał, jak nieprzymierzając maluśkie dziecko, i począł mię całować, i zawołał swego pisarza i rzekł mu: napisz do rządcy zaraz, coby temu człowiekowi sprawiedliwość się stała...

Jeszcze Stach nie skończył, a cała gromada dalejże krzyczeć hura! dalejże go ściskać na wszystkie strony. A to chwat Stanisław, a to głowa, on sobie ta zawsze da radę, widzicie jaka to sprytna gadzina, mówili jeden do drugiego i stawiali kwartę za kwartą i ciskali czapkami do góry.

— Ale ten kapelusz i ta sukmana? pyta znów wśród gwaru ów parobek.

— O, dostałem od pana, któremu niech ta Bóg Przenajświętszy da jak najdłuższe życie za to wszystko, mówi, uchylając kapelusza Stanisław. Widzicie bóty owe, to mi z siebie zdjął i kazał obuć, a kapelusz nasadził na głowę. A kiedym już odchodził, to gada: pieniędzy ci nie dam, bo widzisz nie mam; rządca ten, którego wypędzę, to mię ino okpiwa i nic mi nie przysyła; ale krzyknie do swojéj kobiety: Kaśka! a dajno ta sam z komory tę moję nową sukmanę i pas.

— Widzita, jaki to dobry pan, przerywa Bartosz.

— Tak tak, sama mi wyniosła, a on gada: ubierz się człeku, boś ty biedny, i powiedz twoim sąsiadom, że sprawiedliwość będą mieli.

—

Kontenci też byli chłopi, że im się tak dobrze interes udał, pili więc jeszcze lepiéj i przed panem rządcą czapki nie uchylali. Stach gadał swoje, gromada wierzyła i tak zeszło do Sgo Marcina. Aż tu raniutko jedzie sobie z miasta urzędnik w takim o trzech rogach kapeluszu i przy szpadzie, za nim sześciu kozaków. Co to będzie, pytają chłopi?—źle.

Urzednik ów, co się nazywa *komornik*, zwołał chłopów do wójta, i z dużego papieru odczytał im, jako się mają wynosić ze wsi dobrowolnie i to zaraz, a jak nie zechcą, on z kozakami każe ich wyrzucić.

Trudno sobie wyobrazić, jaki to rejwach, lament, wyrzekania, groźby i przekleństwa zrobiły się we wsi. Tych, co się nie chcieli wyprowadzać i podnieśli rękę na komornika, wójt kazał związać i do sądu odstawić, a resztę het z pościelą ze wszystkiem wyrzucili z chałup, do których się nowi osadnicy powprowadzali. Napróżno prosili, padali do nóg rządcy, nadarmo sprowadzili księdza proboszcza, nic nie pomogło.

— Moi ludzie, nie gadałem wam, nie radziłem, nie ostrzegałem, co?

— Ale prosimy Wgo pana, toć Stach Kobylak byli u dziedzica, i dziedzic powiedział, żeby nas zostawić.

— Ja o tem nic nie wiem, bo nawet wczorajszego dnia odebrałem pismo od pana jenerała, w którém powiada: skoro moi włościanie tak hardzi, i myślą że im krzywdę chcę, robić, to niechże sobie szukają innego pana.

— Zmiłuj się Wny panie, my już będziemy płacić choćby na to i po te 5 złp. z morga.

— Nawet po dziesięć nic nie pomoże, bo osady już komu innemu wypuszczone.

— To my zginiemy z dziećmi i z całym dobytkiem; a gdzież nam się teraz podzieć na zimę, ani chałupy, ani czego, zmiłuj się Wny panie! wołali, padając mu do nóg.

— Widzicie, odezwał się ksiądz proboszcz, jakto źle nie wierzyć drugim co mądrzejsi od was, i dobrze chcą wam zrobić. Pan rządca wam tłumaczył, ja radziłem, a wyście zwlekali do końca, i woleli robić składki na procesa i dla tego oszusta Stacha, który sam nic nie ma, to i o drugich nie dba.

—

W miesiąc jakoś potem nadjechał dziedzic z za granicy. Wypędzeni gospodarze hurmem oblegli dwór cały, prosząc o zmiłowanie. Wydało się wtedy, że Stach ani widział pana, ani był daléj jak o sześć mil w miasteczku, bo jak go przycisnęła gromada, to wszystko wyznał, że ich zwiódł, pieniądze przetumanił, a tylko sobie całą historyę wymyślił. Żeby nie wójt, toby go byli chłopi ze złości ubili, ale on wytransportował go do sądu po ukaranie, a zawziętych sąsiadów umitygował.

Co zaś do dziedzica, był to człek już stary, ale stateczny i litościwy. Naprawdę żal mu się zrobiło biednych chłopów, więc rzecze do nich:

— Moi ludzie, z głupoty i uporu nie chcieliście wierzyć, com wam przez pana rządcę kazał powiedzieć, a źli ludzie jeszcze was podburzali i zwodzili. Jednak że teraz żałujecie swego postępku, to chociaż wam tych samych osad wrócić nie mogę, ale daję jednę porębę lasu; wykarczujcie grunta, pobudujcie chaty, a za 3 lata będziecie płacić jak i drudzy po 5 złotych z morgi. Kto ma chęć do pracy i uczciwość w sercu, to może jeszcze przyjść do kawałka chleba, a na drugi raz pamiętajcie, i dzieciom to swoim powtórzcie, że lenistwo, upór i nieufność do panów na nic się nie przyda, a tylko do biedy i nieszczęść prowadzi.

Upadli tedy do nóg dziedzicowi, podziękowali za łaskę, i teraz,kiedym przez wieś przejeżdżał, widziałem, jak się krzątają około karczowania i zwożą materyał do budynków. Jeden tylko Stach zmarniał ze wszystkiem i służy za parobka u tego samego gospodarza i w téj saméj chałupie, w któréj niedawno był panem. W końcu tu dodać należy, że woźny za wyłudzanie składek właściwéj odpowiedzialności oddany został.

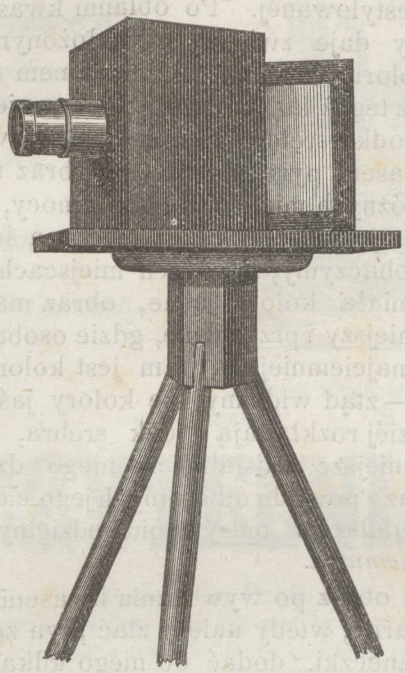
Opis praktyczny

Sposobu otrzymywania obrazów fotograficznych na papierze i szkle.

—

Celem niniejszego artykułu jest obznajmienie czytelników ze sposobem otrzymywania

obrazów fotograficznych; składa się ono z dwóch części, to jest: z przepisu otrzymywania obrazu odjemnego na szkle i odbicia tegoż ze szkła na papier.



Głównem narzędziem do zdjęcia obrazu odjemnego jest ciemnia optyczna, składająca się ze skrzynki drewnianéj mającéj dwie części mogące się wsuwać jedna w drugą, na podobieństwo piórnika. W jednéj jéj ścianie osadzona jest rura metalowa, mogąca według woli być wsuwaną wewnątrz, lub wysuwaną na zewnątrz, za pomocą stosownie urządzonego trybu, w niéj umieszczone są soczewki czyli szkła wypukłe; w przeciwległéj ścianie osadzone jest szkło matowe, które razem ze ścianką przymocowaną zawiasami do saméj skrzynki, w razie potrzeby może być usuniętém. Miejsce szkła matowego może być zastąpione ramkami szczelnie do skrzynki przystającemi. Ramki te składające się z trzech części, to jest z ramek właściwych i z dwóch zasuwek, ze strony przedniej i tylnej, które służą do umieszczenia szkła i do zabezpieczenia już przygotowanego szkła od działania światła w czasie niepotrzebnym.

Ciemnia optyczna ustawia się na stoliczku trójnożnym do mierniczego podobnym, na takim albowiem można nią według potrzeby łatwo kierować.

Jeżeli taki przyrząd skierujemy na jakikolwiek przedmiot, wtedy na zasadach praw fizycznych łamania się światła, powstanie jego obraz rzeczywisty na szkle matowem, lecz pomniejszony i przewrócony. Jeżeli ten nie był zupełnie wyraźnym, wtedy trzeba część skrzynki ruchomą ze szkłem matowem przybliżać i oddalać od soczewek, lub też wsuwać i wysuwać za pomocą poruszania trybem rurę ze szkłami, dopóki obraz nie będzie zupełnie wyraźnym. Miejsce, w którem wtenczas znajduje się szkło matowe, nazywa się *ogniskiem głównem.* Zbierając obraz z osoby, zważać należy, ażeby oczy o ile można najwyraźniejsze były.

Inne narzędzia i naczynia potrzebne, opiszemy przy samem postępowaniu.

Chcąc otrzymać obraz fotograficzny, należy naprzód wziąć tafelkę z najpiękniejszego szkła wielkości takiéj, aby pasowała do ramek ciemni, wyczyścić ją pęczkiem z waty, umaczanym w mocnym spirytusie i posypanym pyłkiem pławionéj ziemi tripolitańskiéj, następnie delikatną bibułą, aby jéj nie porysować, nakoniec pędzelkiem z delikatnego włosia zmieść pyłki, które mogły pozostać z bibuły, a które mogłyby w dalszych czynnościach bardzo szkodzić, wydając plamy bez porównania od nich większe.

W ten sposób wyczyszczoną tafelkę należy pokryć cieniutką i jak można najjednostajniejszą warstewką jodku srebra.

To uskutecznia się, oblewając ją płynem nazwanym kolodionem jodowanym.

Kolodion jest roztworem części co do wagi bawełny strzelniczéj w 40 częściach czystego eteru siarczanego i 20 części alkoholu; ażeby taki roztwór czystego kolodjonu zamienić na jodowany, należy do niego dodać 1 część jodku kadmium.

Oblewając tafelkę kolodionem mającym w rozpuszczeniu jodek kadmium, pokrywamy ją tem samem cieniutką i jednostajną warstewką jodku kadmium, który przez zanurzenie w kąpieli składającéj się z 1 części saletranu srebra (lapis infernalis) i 10 części wody destylowanéj, przez rozkład wzajemny przejdzie w jodek srebra. Kąpiel ta jest umieszczona w małéj skrzynce równoległościennej, złożonej ze szklanych tafelek spojonych

jakimkolwiek gatunkiem żywicy, lub z jednéj sztuki szkła; skrzynka ta jest wązka na pół cala, a tak wysoka i szeroka, ażeby szkło mogło być całe w niej zanurzone.

Szkło najdłużéj w pół minuty po oblaniu go kolodionem pogrąża się w płyn odrazu, trzymając go palcami za jeden róg — trzyma się w płynie tak długo wyjmując i zanurzając napowrót, dopóki z powierzchni oblanéj, która nabrała koloru mleczno-białego, płyn niebędzie się zlewał zupełnie równo, a nie tak, jakby z potłuszczonéj płaszczyzny. Rozumie się, iż to działanie odbywać się ma przy świetle sztucznem, w miejscu zupełnie ciemnem, ponieważ dokonywając je w świetle dziennéni, światło to przez cały ciąg roboty rozkładałoby jodek srebra.

Po przyrządzeniu szkła w ten sposób, należy go zamknąć w ramki i iść z niém do ciemni, w któréj ma odebrać wpływ działania światła słonecznego.

Wiedząc, że im bliżéj przedmiotu są szkła ciemni, tem obraz jest większy na szkle matowem, a im daléj, tem mniejszy, stosownie więc do woli zebrawszy ognisko przez przybliżenie szkieł lub ich oddalenie od przedmiotu, a tem samem przez przybliżanie i oddalanie szkła matowego od szkieł optycznych, wstawiają się ramki w ciemnię, (one tak powinny być zrobione, iż szkło w nich zamknięte ściśle w tem samem miejscu padać powinno, co i szkło matowe), zamyka się rura ze szkłami optycznemi pokrywą metalową, otwiera się przednią zasuwkę ramek, następnie zdejmuje się ostrożnie pokrywę z ciemni z rurą ze szkłami, tak, aby jéj nieporuszyć. Światło w téj chwili działać zaczyna; zwykle 5 do 30 a nawet czasem i do 60 sekund potrzeba, do utworzenia obrazu na szkle, stosownie do dobroci i czystości używanych materyałów. Po tym przeciągu czasu zamyka się rura ze szkłami, następnie wyjmują się ramki, z któremi się wraca do pokoju ciemnego.

Nadmienić tu wypada, iż osoba powinna być usadzoną pod otwartem niebem, lub w umyślnie do tego urządzonéj oszklonéj altanie.

Aby obraz uczynić widzialnym, ponieważ on dotychczas nie daje się spostrzegać z powodu, że rozłożony jodek srebra jest tegoż koloru, jaki posiada jodek nierozłożony, należy oblać szkło na całéj jego powierzchni roztworem 1 części kwasu pyrogalasowego, 10 części kwasu octowego krystalicznego i 300 części wody destylowanéj. Po oblaniu kwas pyrogalasowy daje związek z rozłożonym jodkiem, koloru czarnego, a tem samem tworzy się obraz tegoż koloru na tle białem nierozłożonego jodku srebra, niewchodzącego w związek z kwasem pyrogalasowym. Obraz ten będzie w różnych miejscach różnéj mocy, i jeżeli będziemy patrzeć przez niego na światło, wtedy zobaczymy, iż w tych miejscach, gdzie osoba miała kolory jasne, obraz ma kolor najciemniejszy i przeciwnie, gdzie osoba miała kolory najciemniejsze, tam jest kolor najjaśniejszy — ztąd widzimy, że kolory jaśniejsze najbardziéj rozkładają jodek srebra, kolory zaś ciemniejsze najsłabiéj na niego działają. Ten obraz z powodu odwrotnych jego ciemnych barw w dalszem opisywaniu będziemy nazywać *odjemnym*.

Jeżeli obraz po wywołaniu kwasem nie jest dość czarny, wtedy należy zlać płyn ze szkła do szklaneczki, dodać do niego kilka kropel saletranu srebra z kąpieli srebrnéj powyżéj wspomnianéj, i oblać powtórnie.

Po dokładnem wywołaniu obrazu należy go najprzód obmyć strumieniem wody, z cząstek kwasu pyrogalosowego, jednak ostrożnie, aby powłoki kolodionowéj ze szkła nie zedrzeć, następnie oblać roztworem 1 części cyanku potassium (cyan kalium) w 10 częściach wody destylowanej, i trzymać ten roztwór na powierzchni szkła dopóty, dopóki kolor biały nie zniknie — zniknięcie tegoż jest dowodem rozpuszczenia się jodku srebra nie rozłożonego przez światło, a tem samem utrwalenia obrazu wpośród wpływu dziennych promieni.

Po obmyciu szkła powtórnie strumieniem wody, oblewa go się roztworem 1 części gummy arabskiéj w 10 częściach wody, dlatego, aby szkło nie tak łatwo mogło być porysowanem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować.—Warszawa d. 26 maja (7 czerwca) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.